

Krzysztof Kawalec

Roman Dmowski - różne wymiary legendy

Niepodległość i Pamięć 12/1 (21), 143-148

2005

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej bazhum.muzhp.pl, gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Krzysztof Kawalec
Uniwersytet Wrocławski

Roman Dmowski – różne wymiary legendy

Truizmem byłoby dowodzić szczególnych zasług Romana Dmowskiego dla odzyskania przez Polskę niepodległości jesienią 1918. Przypomina o tym także sejmowa uchwała z 8 stycznia 1999 (MP 1999, nr 3, poz. 12), przyjęta wprawdzie niejednogłośnie, ale – na tle innych współczesnych debat – mimo wszystko relatywnie zgodnie. Po części wynikało to zapewne z tego, że nie historia, w szczególności zaś nie te wydarzenia z pierwszej połowie XX stulecia są tym, co współczesnych Polaków dzieli. Być może podjęta w 60-lecie śmierci Dmowskiego uchwała miała i to szczęście, że jej uchwalenie nie nałożyło się na żadne z wydarzeń, w komentarzu do których można by się posłużyć sugestywnym cytatem, wyjętym z bogatego dorobku Pana Romana. Głośny spór o Jedwabne miał dopiero nadejść, podobnie jak kwestia stosunków polsko-ukraińskich – wywołana najpierw kontrowersjami w ocenie losów obu społeczności w czasie ostatniej wojny, w końcu zaś perspektywą zwycięstwa na Ukrainie orientacji zachodniej, proeuropejskiej. Postać Dmowskiego przywoływana była wówczas jedynie na marginesie kontrowersji ujawniających się przy finalizowaniu polskich starań o akcesję do struktur zachodnioeuropejskich – i jakkolwiek kontekst, w których się ona pojawiała przedstawiał się rozmaicie, generalnie przecież Dmowski funkcjonował jako ktoś w rodzaju uznanego powszechnie „klasyka”, budzącego wprawdzie niekiedy kontrowersje – ale w końcu który z „klasyków” ich nie budzi...

Jest to sytuacja zasadniczo odmienna niż ta z początku lat trzydziestych, gdy stał się on obiektem swego rodzaju agresji propagandowej, prowadzonej i przez historyków (Władysław Pobóg-Malinowski) i dziennikarzy – miarodajny dla stylu tych enuncjacji był pamflet Wincentego Rzymowskiego: „Roman Dmowski – czciciel diabła”... Do tej argumentacji w sposób selektywny sięgała i propaganda PRL, dorzucając od siebie zarzut wspierania „międzynarodowego faszyzmu”, chociaż bywało także, że przedstawiano go również jako połowicznego i niekonsekwentnego prekursora tej formy państwowości polskiej, za którą uważał się PRL: państwa jednoetnicznego, o kształcie terytorialnym nawiązującym do monarchii pierwszych Piastów, politycznie uzależnionego od Wielkiego Brata ze Wschodu. Trzeba tu zaznaczyć, że rzetelna analiza twórczości politycznej Dmowskiego nie dawała podstaw do podobnej interpretacji jego poglądów – czym innym wszakże jest to, co znaleźć można w materiale źródłowym, czym innym zaś potrzeby współczesnego aparatu państwowego, w połączeniu z możliwościami, jakimi dysponuje państwo. W swoim czasie sytuację tę dobitnie, chociaż w sposób nie wolny od mimowolnego cynizmu, skomentował George Orwell, wskazując, że kto panuje nad teraźniejszością, panuje nad przeszłością – ściślej mówiąc jej interpretacją. Do tej opinii niewiele można dodać, może tylko to, że - bywało – w sukurs

propagandystom PRL przychodzili epigoni Dmowskiego, próbując żenić jego koncepcje polityczne z realiami Układu Warszawskiego.

Skutkiem tej sytuacji było konserwowanie dawnych urazów i kontrowersji rodem z międzywojennego dwudziestolecia – w szczątkowej postaci ich relikty śledzić można również dzisiaj, w enuncjacjach ludzi, dla których Dmowski wciąż jest „czci-cielem diabła”, o ile nie samym diabłem. Jest ich wszakże coraz mniej i generalnie rzecz biorąc, coraz mniej mają oni do powiedzenia. Dmowski staje się postacią uznawaną, patronem ulic, placów, chociaż – pamiętając o kalibrze postaci – trudno nie widzieć, że jeśli idzie o zajmowane obecnie miejsce w zbiorowej pamięci, pozostaje on dzisiaj daleko za swoim wielkim rywalem, Józefem Piłsudskim. Jest to jednak wynik nie tylko i nie tyle nawet oddziaływania wcześniejszej „czarnej” legendy Dmowskiego, ile okoliczności, zawinionych przez „wielką” historię. Dramatyczny kres II Rzeczypospolitej w sposób naturalny stworzył zapotrzebowanie na postać, personifikującej jej legendę – i mógł nią być tylko Piłsudski, i nie tyle z uwagi na swoje zasługi dla odzyskania przez Polskę niepodległości, bez względu na ich wagę, ale przede wszystkim z uwagi na rolę, jaką odgrywał po roku 1926. Dopiero wtedy bowiem zaczął personifikować państwo – które ze swojej strony uczyniło go przedmiotem kultu. Drugi element, to pewna cecha, właściwa naszej wyobraźni zbiorowej od dawna. W Polsce lubi się i ceni żołnierzy, lekceważy zaś polityków cywilnych. W przeszłości skłonność ta ujawniała się o wiele silniej, ale zaznacza się i dzisiaj – w tym względzie wielce pouczające jest na przykład już sięgnięcie do planu dowolnego większego miasta i przyjrzenie się nazewnictwu ulic: w jakiej proporcji upamiętniane są wydarzenia i postacie „cywilne”, w jakiej zaś bitwy i dowódcy... W przyszłości może się to zmienić, ale niekoniecznie.

W szerszej świadomości Dmowski zapisał się przede wszystkim jako dyplomata i mąż stanu, co jest o tyle uzasadnione, że reprezentowanie sprawy polskiej wyznaczyło punkt ciężkości działalności Dmowskiego – tak, jak on sam swoje poczynania widział i oceniał. Kluczem do jego koncepcji politycznej był stosunek do Rosji – równie daleki od dążeń ugodowych, jak od romantycznej tradycji powstańczej. Ten dystans wobec romantyzmu dostrzegł i interesująco, choć trochę jednostronnie zinterpretował Ksawery Pruszyński w głośnym artykule ogłoszonym na łamach „Wiadomości Literackich” w końcu stycznia 1939, krótko po śmierci Pana Romana. Analizując różnice dzielące obie wielkie postacie II Rzeczypospolitej, powiązał je z odmiennością klimatu kresowego dworku z jednej, a przedmieść podwarszawskiej Pragi z drugiej strony. To dlatego, zdaniem Pruszyńskiego, „Panicz z Zułowa” nie mógł znaleźć wspólnego języka z człowiekiem, który wywodził się ze społecznych nizin i którego droga życiowa uznawana być może za ilustrację szerszego procesu – awansu do życia publicznego środowisk tradycyjnie w nim dotąd nieobecnych, „niemych”. Jak wskazywał Pruszyński, także jako polityczny przywódca Dmowski zachował „właściwości wyniesione z zawodu, gdzie trzeba było wyliczać i wymierzać, a nie wyczuwać intuicją, nie osądzać <na oko>”. W efekcie, działalność Dmowskiego nie przypominała „impetu husarii, świetności poloneza, ale rytm powolny młota kującego granit. System pracy nie znający zrywów, ale nie uznający i opadnięć. Człowiek z takiej gliny rządzi się mózgiem nie sercem, intelektem nie intuicją, hołduje dedukcji nie indukcji, przesłankom logiki bardziej niż wynikom doświadczenia. Tacy ludzie bywają wcieleniem porządku, antytezą chaotyizmu, tacy bywają pedantami, z takich rekrutują się samoucy. Taki przestrzega pilnie przepisów lekarza i nakazów ustawy, stosuje gimnastykę szwedzką. Pnie

się do góry, szczybel po szczyblu, powoli ale nieustannie. Nic nie zmarnuje. wszystko wyzyska. Jest trzeźwy, nazywają go realnym”.

Trzeba powiedzieć, że charakterystyka ta niezupełnie trafia w sedno, ale ma też znaczące walory. Przede wszystkim ilustruje świetnie nie tylko potoczny pogląd o różnicach dzielących Piłsudskiego i Dmowskiego, ale i klimat – zamkniętej już za sprawą konsekwencji tragicznego Września – epoki zdominowanej przez elity uformowane na romantycznej literaturze. Znaczna ich część jeśli nie wywodziła się z dworców szlacheckich, to przynajmniej identyfikowała się z tą częścią narodowego dziedzictwa, którą można było z nimi skojarzyć. Koncepcję polityczną Dmowskiego, określoną mianem realistycznej, przypisał Pruszyński mentalności mieszczaństwa. Nie jest to ściśle o tyle, że historycznie rzecz biorąc termin „realizm” w tym znaczeniu, w jakim pojawił się w początkach stulecia, przywołany został jako znak wywoławczy partii konserwatywnej właśnie, ściśle związanej z ziemiaństwem i sporą jak na polskie realia własnością. Realizm, wyrażający się gotowością do pogodzenia się z brakiem państwa i uznaniem skutków rozbiorów za nieodwracalne, w sposób wyraźny wynikał z obaw przed skutkami większych wstrząsów. Natomiast ruchy masowe, z natury rzeczy plebejskie, były mniej skłonne liczyć się z zastanym status quo. Dotyczy to także Dmowskiego, poszukującego dróg wyprowadzenia sprawy polskiej z impasu, w którym tkwiła przez całe XIX stulecie. W politycznych realiach przełomu stuleci nie miało to jednak wiele wspólnego z politycznym realizmem o tyle, że wymagało zburzenia bez mała całego otaczającego świata... Pragnienie, by tak właśnie się stało, nie pasuje do wizerunku Dmowskiego – realisty: w istocie podążał on śladami romantycznego wieszca, modlącego się „o wojnę powszechną”...

Współczesnemu czytelnikowi, dla którego istnienie państwa polskiego wydaje się sprawą oczywistą, warto uświadomić, że może się on jednak mylić... Przez cały wiek XIX Polski nie tylko nie było na mapie, ale w dodatku ten stan rzeczy nie budził większych komplikacji międzynarodowych. Oceniany z perspektywy burzliwego XX stulecia, wiek XIX jawi się jako czas stabilizacji. Klęski powstań polskich nie burzą tego obrazu, raczej go potwierdzają, mając na uwadze i lokalną skalę walk, i ich relatywnie krótki czas, i to, że nie zdradzały tendencji przerastania w konflikt międzynarodowy. O beznadziejności sprawy polskiej przesądzało to, że postrzegana jako skierowana przeciw Rosji, potencjalnie godziła w interesy także Niemiec oraz Austrii. A zatem kierowała się ona przeciw trzem silnym państwom, które mimo dzielących je przeciwności na odcinku polskim współpracowały ze sobą. Już sama Rosja była dla polskich powstań zbyt silnym przeciwnikiem; dążenie do przekreślenia skutków rozbiorów wymagało wszakże pokonania wszystkich trzech zaborców – i to naraz, zważywszy ich gotowość do udzielania sobie nawzajem pomocy. Nie było to możliwe, i nie tylko dlatego, że Polacy byli na to za słabi – trudno było bowiem myśleć nawet o stworzeniu koalicji państw zdolnych do pokonania mocarstw zaborczych. Państwa zachodnie były na to za słabe, nawet gdyby – co i tak nie wchodziło w rachubę – uznały interesy nad Wisłą za pierwszoplanowe, godne zdeterminowanej walki.

Cały ten stabilny porządek runął za sprawą I wojny światowej oraz jej konsekwencji – warto przecież zdawać sobie sprawę z tego, że nawet w warunkach politycznego kataklizmu wydarzenia mogły ułożyć się inaczej, a poza tym, w istniejącym stosunku sił, bieg wydarzeń, który doprowadził do odrodzenia państwowości polskiej, ani nie był nieuchronny, ani też, wśród innych możliwych wariantów rozwoju sytuacji, nie mógłby być uznany za szczególnie prawdopodobny, leżący w logice zdarzeń.

W świetle dostępnej obecnie wiedzy przyjąć można, że Dmowski w pełni zdał sobie sprawę ze wszystkich uwarunkowań sprawy polskiej w pierwszych latach XX stulecia. Dotyczy to w szczególności zrozumienia skutków podziału ziem polskich – zarówno jeśli idzie o sygnalizowane wyżej komplikacje natury międzynarodowej, jakimi groziło ponowne postawienie na porządku dziennym kwestii polskiej, jak i skutki niejako wewnętrzne, związane z pogłębianiem się różnic dzielnicowych i zaborowych. Przede wszystkim sprawa polska zaczęła się stawać sprawą tylko Polaków – inne zamieszkujące obszar dawnej Rzeczypospolitej społeczności w rosnącym stopniu dystansowały się od niej – co gorsza zaś, nawet w obrębie społeczności polskiej pojawiły się narastające dystanse, w dłuższej perspektywie groźne dla jedności narodu. W jednym z artykułów, pisanych w 1901 roku, wyraził Dmowski pogląd, że w gruncie rzeczy sprawa polska obejmuje dwa wielkie zagadnienia – brak suwerenności politycznej oraz podział – trudne do rozwiązania za jednym zamachem, gdyż poruszenie jednego z problemów komplikuje drugie z zagadnień...

Zamysł etapowego dochodzenia do niepodległości, przy uznaniu podziału za zagadnienie najpilniejsze, które powinno być rozwiązane w pierwszej kolejności, określił logikę kolejnych posunięć. Drugi element, to poszukiwanie dogodnej okazji do działań. Początkowo wielkie nadzieje wiązał Dmowski z kryzysem państwowości rosyjskiej, około roku 1907 wszakże, w obliczu cofania się rewolucyjnej fali w Rosji z jednej strony, z drugiej zaś komplikowania się sytuacji międzynarodowej, rachuby na rozwiązanie sprawy polskiej wiązał Dmowski z nadziejami na wybuch wielkiej wojny. Wojny – dodajmy – z założenia długotrwałej, nie ograniczonej do jednej czy kilku kampanii, a przy tym takiej, której Rosja nie toczyłaby sama. Możliwość takiego konfliktu w dość oczywisty sposób wynikała z sytuacji międzynarodowej przed wybuchem I wojny światowej, gdy sojusznikiem Rosji były oba państwa zachodnie, Wielka Brytania i Francja, ale pragnienie, by konflikt taki przedłużył się – sprzeczne z rachubami miarodajnych polityków, jak i techników wojskowych, prognozujących konflikt krótki, co najwyżej kilkumiesięczny – wynikało właśnie z pragnienia osiągnięcia sytuacji, w której zachwieje się nawet to, co mogło uchodzić za najbardziej ustabilizowane jej elementy.

Pragnienie wyzyskania pojawiającej się szansy, obawa, że zbyt wczesne wystąpienie może ją (jak w XIX stuleciu, gdy jednym ze skutków powstań polskich była poprawa relacji między Rosją a Niemcami i Austrią) przekreślić – pchnęła Dmowskiego do działań sprzecznych z patriotyczną tradycją, łatwych do opacznego rozumienia, przykrych też dla niego samego. Ich istota tkwiła w ukryciu celów działania politycznego oraz podjęciu gry z zaborcą – w dążeniu do jego „przechytrzenia”. „Fraternizowałem z bydłem” – oceni Dmowski w liście do Ignacego Paderewskiego z roku 1917 politykę orientacji na Rosję, prowadzoną w przededniu wojny i w pierwszych jej latach. W gruncie rzeczy, wbrew rozpowszechnionej opinii, Dmowski był politykiem antyrosyjskim. Swoją koncepcję budował na założeniu, że wraz z wybuchem wojny Rosja wejdzie w okres kłopotów, których może nie przetrwać... W lecie 1917 roku nie krył optymizmu dowodząc, że Rosja weszła w okres walk wewnętrznych, który potrwa co najmniej kilka pokoleń, co stwarza Polsce możliwości efektywnego działania. Przywiązany do swojej wizji, jeszcze w połowie lat 20. łudził się, że Polska ma wciąż jeszcze tylko jednego przeciwnika... Ustabilizowanie się rządów komunistycznych uświadomiło Dmowskiemu pomyłkę: godna uwagi i dobrze świadcząca o jego wyobraźni politycznej wydaje się konsekwencja, z którą, obawiając się skutków politycznego współdziałania obu wielkich sąsiadów Polski, poszukiwał sposobów neutralizacji tej groźby.

Generalnie rzecz biorąc, w dorobku Dmowskiego pozycją o trwałej wartości wydaje się wizja Polski jako państwa, którego niepodległość nie ogranicza się do sfery symboli, ale: 1) obejmuje obszar obejmujący wszystkie większe skupiska ludności polskiej, 2) zapewniający państwu trwałe oparcie w potencjale gospodarczym, a dodatkowo 3) może liczyć na wsparcie ze strony sprzyjającego mu układu międzynarodowego, zdominowanego przez państwa zachodnie. Postulat związania Polski z Zachodem wpływał i z przesłanek ideologicznych i ściśle politycznych, określonych realiami geograficznymi. Dmowski uważał Polskę za część świata zachodniego: dążenie do związania jej sojuszem z państwami zachodnimi wynikało i z przekonania o cywilizacyjnej bliskości i – przede wszystkim – z dostrzeżenia, że siła państw zachodnich, nie graniczących z Polską, Polsce nie zagraża, może natomiast równoważyć potencjał jej wielkich sąsiadów, przynajmniej Niemiec. Z Rosją (radziecką) sprawa trudniejsza, w związku z czym (także aby nie prowokować rosyjsko-niemieckiej koalicji) rozsądnie, jak dowodził, byłoby jej nie prowokować.

Odległy od euforii „mocarstwowej” dostrzegał wspólnotę losów Polski oraz innych narodów, które odzyskały niepodległość po I wojnie światowej. Słusznie uważając, że ich współpraca przyczyniłaby się do stabilizacji całego regionu, starał się działać na rzecz bliższej współpracy polsko-czechosłowackiej. W tym względzie poniósł jednak porażkę w starciu z politykami, którzy – po obu stronach – za ważniejsze uważali kultywowanie sporu o skrawek pogranicza, a potem niszczącą rywalizację o lokalne przodownictwo.

Zdając sobie sprawę z kruchości położenia odrodzonego państwa, widział konieczność ograniczania skali walk wewnętrznych, w tym i starć partyjnych. Wobec temperatury sporów wewnętrznych ingerencje w ich przebieg nie były rzeczą łatwą; to zaś, że Dmowski nie miał okazji głębiej poznać mechanizmów politycznych właściwych demokracji liberalnej nie ułatwiało mu zadania znalezienia rozwiązań w pełni zgodnych z praktyką krajów zachodnich. W miarę upływu czasu był skłonny do zajmowania stanowiska coraz bardziej skrajnego – poza przyczynami natury psychologicznej oddziaływały nań także zmienione po maju 1926 roku mechanizmy polityczne. Ani jego wiek, ani zasługi nie stwarzały taryfy ulgowej: działając pod presją, nie tak łatwo zachować trzeźwość w ocenie sytuacji i umiar. Nie dziwi, że ta część jego obfitej twórczości publicystycznej jest najbardziej podatna na rozmaite demaskatorskie zabiegi z jednej strony, z drugiej zaś na to, że sięgną do niej ludzie, z którymi Dmowski za życia pewnie nie chciałby mieć wiele wspólnego.

Możliwości rozmaitego rodzaju nadużyć było tu wiele, i nie tylko późna twórczość Dmowskiego była na nie podatna. Pomijając w tym miejscu jako odrębne zagadnienie problem współczesnej oceny tego, co Dmowski pisał o Żydach oraz stosunkach polsko-żydowskich warto tu wskazać podatność na manipulację – bądź niezrozumienie – tego, co wyznaczało punkt ciężkości koncepcji. Sygnalizowano nadużycia związane z przedstawianiem problemu relacji polsko-rosyjskich. Jeśli przed wybuchem Wielkiej wojny, prowadząc grę, której etapy oraz ostateczny cel z konieczności musiały pozostać ukryte, Dmowski przeforsował eliminację haseł niepodległościowych z programów stronnictw, składających się na ruch demokratyczno-narodowy, a także zaczął eksponować tezę, że w obliczu zagrożenia niemieckiego interesy Polski oraz Rosji są tożsame, to po roku 1945, kiedy Polska znalazła się w obrębie pojałtańskiego układu zależności, przypomnienie tej tezy - przedstawianej jako trwała dyrektywa polskiej polityki narodowej – w istocie służyło propagandowemu usprawiedliwieniu sytuacji, której Dmowski – w świetle tego, co o nim wiemy – nie zaakceptowałby nigdy.

Odnotujmy przecież, że nie jest on jedynym spośród naszych „wielkich”, którego życiowy dorobek jest wrażliwy na tego rodzaju nadużycia. W przypadku Piłsudskiego – który podobnie jak Dmowski prowadzić musiał i prowadził grę, której tajniki pozostawały głęboko ukryte – formą epigoństwa jest przywoływanie go w roli patrona polityki, wyrażającej się w odwoływaniu do symboli i gestów, czynionym w całkowitym oderwaniu od elementarnych realiów. To jest na przykład interesów i dążeń poszczególnych stron, a także stosunku sił... Cechami epigońskimi w znacznym stopniu jest skażone nasze myślenie o nowych wschodnich sąsiadach Polski. Ileż to razy słyszy się o naszych szczególnych zadaniach oraz zobowiązaniach – przy czym istota owych zadań i zobowiązań często wydaje się sprowadzać li tylko do retorycznej figury i gestu. Jakiś czas temu z ust bardzo poważnej osoby zdarzyło mi się usłyszeć, jaką to narodową katastrofą było to, że uznaliśmy niepodległość Litwy dopiero jako dwudzieste któreś państwo z kolei, a za to jakim sukcesem było pośpieszenie się z uznaniem Ukrainy przed innymi państwami. Czy owe porażki lub triumfy polskiej polityki zagranicznej przekładają się na traktowanie mniejszości polskiej za granicą lub wzajemne obroty handlowe? Czy pozostały one bez wpływu na obecny stan stosunków z Rosją? A oto inny przykład. Czy pamięta ktoś jeszcze winietę podziemnej „Solidarności Walczącej”, wydawanej w latach osiemdziesiątych? Zdobilo ją motto – cytat z Piłsudskiego – o konieczności podejmowania wysiłku przebijania muru głową. To nic, że głowa krwawi, a mur stoi nieporuszony. Za którymś razem przecież runie, bo w końcu musi... To prawda, Piłsudski napisał coś takiego – ale przecież nigdy nie stosował tej maksymy do własnych działań, które kalkulował starannie. Wiedział dobrze, że zanim mur się zarysuje, pęknie głowa i podejmując ryzyko, starał się jednak unikać sytuacji, w której własne siły stopniałyby w walce bez szans. Czy czytelnicy „Solidarności Walczącej” stosowali tę samobójczą maksymę? Też nie, z czego należałoby się cieszyć, gdyby nie świadomość, że sytuacja, w której tkwimy dzisiaj i w której słowo w istocie niewiele znaczy ma nie tylko swoje przyczyny, ale i miała swe początki.

Całe nieszczęście przyjmowania jako prawdy objawione wskazań powstałych w innych czasach, bez pamiętania o ich kontekście, ani nawet bez głębszej refleksji nad tym, co w istocie wyrażały – polega na krzewieniu bezmyślności i torowaniu drogi bądź ludziom nawiedzonym, bądź spryciarzom bez skrupułów. I nie jest ważne, czy przedmiotem tego rodzaju nadużyć pada spuścizna Pana Romana, czy Pierwszego Marszałka. Skutki są podobne. Byłoby przecież niedobrze, gdyby z odkrycia, że wskazania naszych „wielkich” są dzisiaj nie do zastosowania, wynikać miało dążenie do ich odrzucenia jako historycznego balastu. Mają one wartość i to dużą. Ale jest to wartość już historyczna – ważnej, godnej poznania części narodowego dziedzictwa. A poznanie – to nie tylko warunek rzetelnej oceny, ale także umiejętność krytycznej refleksji.

Tym, co przydałoby się zaszczepić w większej mierze współczesnej klasie politycznej, wydaje się charakterystyczna dla zarówno Dmowskiego, jak i Piłsudskiego skłonność do traktowania aktywności politycznej w kategoriach społecznej służby, a nie dobrze opłacanej profesji. W realiach kraju niezbyt zamożnego oznaczałoby to nie tylko zmniejszenie kosztów funkcjonowania aparatu państwowego, ale przede wszystkim zmianę atmosfery.